

Twórca bestsellerowych thrillerów:
OFICERA I SZPIEGA, KONKLAWE I AUTORA WIDMO

ROBERT HARRIS



INDEKS STRACHU

Proroczy thriller o kulcie pieniądza
i niebezpiecznej grze ze sztuczną inteligencją

ALBATROS

ALBATROS

Tytuł oryginału:
THE FEAR INDEX

Copyright © Robert Harris 2011
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Magdalena Słysz 2012

Redakcja: Ewa Pawłowska

Konsultacja: dr hab. Krzysztof Borowski, Szkoła Główna Handlowa

Projekt graficzny okładki: Agnieszka Drabek / Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Ilustracje na okładce: © Daniele Gay/Arcangel (*budynek*);
fran_kie/Shutterstock (*postać*); mar1koff/Freepik (*kod*)

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
e-mail: kontakt@wydawnictwoalbatros.com
wydawnictwoalbatros.com



1

Ucz się ode mnie, jeśli już nie przez moje wskazania, to przynajmniej na moim przykładzie, jakie niebezpieczeństwo niesie z sobą zdobyta wiedza i o ile więcej szczęśliwy jest ten, dla kogo jego miasto rodzinne stanowi cały świat, niż ten, który dąży do tego, aby stać się większym, niż mu to wyznaczają jego przyrodzone zdolności.

Mary Shelley, *Frankenstein* (1818), przekład Henryka Goldmanna, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1989

Doktor Alexander Hoffmann siedział przy kominku w swoim gabinecie w Genewie i przerzucał strony pierwszego wydania *O wyrazie uczuć u człowieka i zwierząt* Karola Darwina. Nisko nad jego ramieniem znajdowała się przegubowa lampa stołowa, a w popielnicze obok leżało wypalone do połowy cygaro, już zimne. Wiktoriański zegar stojący wybił w holu północ, ale Hoffmann tego nie słyszał. Nie zauważył też, że ogień już prawie wygasł. Całą swoją niezwykłą zdolność koncentracji skupił na książce.

Wiedział, że została wydana w Londynie w roku 1872 przez oficynę John Murray & Co. w nakładzie siedmiu tysięcy egzemplarzy. Wydrukowano ją w dwóch rzutach. Wiadomo mu było ponadto, że w dodruku wprowadzono literówkę – na stronie dwieście ósmej zamiast *that* widniało „htat”. Ponieważ

trzymany przez niego tom nie zawierał tego błędu, musiał pochodzić z pierwszego rzutu, co znacznie podnosiło jego wartość. Hoffmann obrócił go i przyjrzał się grzbietowi. Oprawa została wykonana z zielonego płótna, miała złote tłoczone litery, a grzbiet tylko lekko wystrzępił się na końcach. Wśród bibliofilów uznano by, że egzemplarz jest w dobrym stanie, i prawdopodobnie wyceniono by go na jakieś piętnaście tysięcy dolarów. Kiedy tego wieczoru wrócił z pracy do domu, tuż po dziesiątej, zaraz po zamknięciu nowojorskich rynków, książka już na niego czekała. Ale najdziwniejsze było to, że choć kolekcjonował pierwsze wydania dzieł naukowych, szukał właśnie tego i zamierzał je kupić, wcale go nie zamówił.

W pierwszej chwili pomyślał, że to prezent od żony, ale ona zaprzeczyła. Początkowo jej nie uwierzył, chodził za nią po kuchni, gdy nakrywała do stołu, i pokazywał jej książkę.

– Chcesz mi wmówić, że nie ty ją dla mnie kupiłaś?

– Tak, Alex. Przykro mi. Ale to nie ja. Co mogę powiedzieć? Może masz cichą wielbicielek?

– Jesteś pewna? Nie mamy rocznicy ślubu ani czegoś takiego? Nie zapomniałem kupić ci prezentu?

– Na litość boską, nie ja ją kupiłam, rozumiesz?!

W paczce nie było żadnej informacji z wyjątkiem ulotki reklamowej holenderskiego antykwariatu o treści: „Rosengarden & Nijenhuis, antykwaryczne dzieła naukowe i medyczne. Rok założenia 1911. Prinsengracht 227, 1016 HN Amsterdam, Holandia”. Hoffmann nacisnął pedał kosza na śmieci i wyjął bąbelkowe opakowanie oraz gruby brązowy papier. Spojrzał na wydrukowaną naklejkę z dokładnym adresem: „Dr Alexander Hoffmann, Villa Clairmont, 79 Chemin de Ruth, 1223 Cologny, Genewa, Szwajcaria”. Przesyłka została wysłana

poprzedniego dnia, pocztą kurierską.

Po kolacji – zapiekance rybnej z zieloną sałata, przyrządzonej przez ich gospodynię przed wyjściem do domu – Gabrielle została w kuchni, żeby na wszelki wypadek zadzwonić jeszcze w kilka miejsc w związku z otwarciem następnego dnia swojej wystawy, a on wycofał się z tajemniczą książką do gabinetu. Godzinę później, gdy Gabrielle wetknęła głowę za drzwi, aby mu powiedzieć, że idzie do łóżka, wciąż był pogrążony w lekturze.

– Nie kładź się zbyt późno – poprosiła. – Zaczekam na ciebie.

Nie odpowiedział. Żona stała chwilę w progu i patrzyła na niego. Jak na czterdziestodwulatka wciąż wyglądał całkiem młodo, zresztą zawsze był przystojniejszy, niż sądził – według niej ta cecha była u mężczyzny równie atrakcyjna, co rzadka. U niego nie wynikało to jednak ze skromności, uświadomiła sobie. Wręcz przeciwnie – był w najwyższym stopniu obojętny na wszystko, co nie pociągało go intelektualnie, i ten rys osobowości zyskał mu u jej przyjaciółek opinię nieznośnego grubianina – co też jej się podobało. Jego nienaturalnie chłopięca, typowo amerykańska twarz nachylała się teraz nad książką, a okulary były odsunięte na czubek głowy z jasnobrązowymi włosami; szkła, w których nagle odbił się ogień na kominku, jakby błysnęły ostrzegawczo. Gabrielle знаła męża zbyt dobrze, żeby mu przerwać. Westchnęła więc i poszła na górę.

Hoffmann od lat wiedział, że *O wyrazie uczuć u człowieka i zwierząt* było jedną z pierwszych książek ze zdjęciami, ale nigdy wcześniej ich nie widział. Monochromatyczne fotografie przedstawiały modeli wiktoriańskich malarzy oraz pensjonariuszy domu dla obłąkanych z hrabstwa Surrey w różnych

stanach emocjonalnych – w cierpieniu, rozpacz, radości, buncie, strachu – bo praca ta miała być studium *homo sapiens* jako zwierzęcia, ze wszystkimi jego instynktownymi reakcjami, bez maski będącej efektem socjalizacji. Urodzeni na tyle późno w stuleciu nauki, żeby mogli zostać sfotografowani, ludzie ci ukazywali rozbiegane oczy i krzywe zęby, które nadawały im wygląd przebiegłych, przesądnych chłopów z czasów średnio-wieczna. Przypomnieli Hoffmannowi koszmar z dzieciństwa – dorosłych z dawnych bajek, którzy mogą przyjść nocą do pokoju dziecka, porwać je z łóżka i uprowadzić głęboko w las.

Niepokoilo go jeszcze jedno. Ulotka reklamowa antykwa-riatu była wetknięta między strony poświęcone strachowi, jak-by nadawca specjalnie chciał zwrócić jego uwagę na fragment:

*Człowiek owładnięty strachem najpierw staje jak ska-mieniały, bez ruchu i bez tchu, albo przykuca, jakby in-stynktownie chciał ująć przed obserwacją. Serce bije mu szybko i mocno, kołacze i tłucze się o żebra...**

Hoffmann, gdy myślał, miał zwyczaj przekrzywiać głowę na bok i patrzeć w dal. Teraz też to zrobił. Czy to zbieg oko-liczności? Tak, stwierdził, na pewno. Z drugiej jednak strony, fizjologiczne objawy strachu miały tak bezpośredni związek z VIXAL-em 4, systemem transakcyjnym, nad którym obecnie pracował, że wydało mu się to uderzające. Ale przecież VIXAL 4 był ściśle tajnym projektem, wiedzieli o nim tylko członko-wie zespołu, i chociaż przezornie dobrze im płacili – dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów stanowiło pensję początkową, z

* Jeśli nie podano inaczej, tłumaczenia cytatów są autorstwa M. Słysz.

dotatkami w postaci premii – było mało prawdopodobne, aby którykolwiek z nich wydał piętnaście tysięcy, żeby kupić mu prezent, i to jeszcze anonimowo. Jediną osobą, która mogła sobie na to pozwolić, która wiedziała o projekcie i potraktowała by to jako żart – jeśli faktycznie to miało być kosztownym żartem – był jego wspólnik w interesach Hugo Quarry, więc Hoffmann zadzwonił do niego, nie myśląc o tym, że może pora jest niewłaściwa.

– Cześć, Alex. Jak leci? – Jeżeli Quarry dostrzegł coś dziwnego w telefonie po północy, doskonale maniery nigdy nie pozwoliłyby mu się z tym zdradzić. Poza tym znał zwyczaje Hoffmanna, „szalonego naukowca”, jak go nazywał – i to zarówno w oczy, jak i za plecami, bo jego urok polegał między innymi na tym, że odnosił się do każdego zawsze tak samo, oficjalnie czy nieoficjalnie.

Hoffmann, który wciąż czytał opis strachu, odparł z roztargnieniem:

– Cześć. Czy to ty kupiłeś mi książkę?

– Nie sądzę, stary przyjacielu. A dlaczego pytasz? Miałem kupić?

– Ktoś dzisiaj przysłał mi pierwsze wydanie Darwina i nie wiem kto.

– To chyba droga rzecz.

– Owszem. Pomyślałem, że to może ty, bo wiesz, że Darwin ma kluczowe znaczenie dla VIXAL-a.

– Obawiam się, że to nie ja. Może któryś klient? Chciał ci podziękować i zapomniał dołączyć bilecik? Bóg wie, Alex, że dzięki nam zarobili mnóstwo pieniędzy.

– Uhm, może. Dobra. Przepraszam, że zawracam ci głowę.

– Nie ma sprawy. Do zobaczenia rano. Jutro wielki dzień.

A właściwie dzisiaj. Powinieneś być już w łóżku.

– Jasne. Idę spać. Branoc.

Gdy strach osiąga najwyższy poziom, rozlega się straszliwy krzyk przerażenia. Na skórze występują krople potu. Wszystkie mięśnie ciała się rozluźniają. Wkrótce następuje skrajne wyczerpanie i słabną zdolności umysłowe. Reagują jelita. Zwieracz przestaje działać i nie jest w stanie utrzymać ich zawartości...

Hoffmann podsunął książkę pod nos i powąchał. Poczuł zapach skóry, bibliotecznego kurzu i dymu z cygara, tak silny, że niemal poczuł jego smak, z ledwie wyczuwalną chemiczną wonią – być może formaldehydu albo gazu węglowego. Skojarzyło mu się to z dziewiętnastowiecznym laboratorium lub aulą i przez chwilę ujrzał przed oczami palniki bunsenowskie na drewnianych ławach, buteleczki z kwasem i szkielet małpy. Włożył reklamówkę antykwariatu tam, gdzie tkwiła poprzednio, i ostrożnie zamknął książkę. Potem podszedł z nią do regału i delikatnie, dwoma palcami, zrobił dla niej miejsce między pierwszym wydaniem *O pochodzeniu gatunków*, które kupił na aukcji w Sotheby's w Nowym Jorku za sto dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, a oprawionym w skórę egzemplarzem *O pochodzeniu człowieka*, należącym kiedyś do Thomasa Henry'ego Huxleya.

Później będzie usiłował sobie przypomnieć, co kolejno robił. Zajrzał do terminalu Bloomburga na swoim biurku, żeby sprawdzić ostatnie notowania w USA: indeksy Dow Jones, S&P 500 i NASDAQ poszły w dół. Wrócił do korespondencji e-mailowej z Susumu Takahashim, dealerem czuwającym nad

pracą VIXAL-a 4 w godzinach nocnych, który poinformował go, że wszystko jest jak trzeba, i przypomniał mu, że tokijska giełda papierów wartościowych zostanie otwarta po trwającym trzy dni Złotym Tygodniu za niespełna dwie godziny. Na otwarciu na pewno wszystko pójdzie w dół, żeby nadrobić tygodniowe spadki notowań w Europie i Stanach Zjednoczonych. I była jeszcze jedna sprawa: VIXAL proponował krótką sprzedaż kolejnych udziałów Procter & Gamble o wartości trzech milionów dolarów po sześćdziesiąt dwa dolary za sztukę, dzięki czemu ich ogólna pozycja osiągnęłaby sześć milionów – była to duża transakcja: czy Hoffmann wyraża zgodę? Hoffmann odpisał „Okay”, odłożył niewypalone do końca cygaro, przykrył wylot kominka osłoną z cienkiej drucianej siatki i wyłączył światła w gabinecie. Zatrzymał się w holu, żeby sprawdzić, czy drzwi frontowe są zamknięte, a potem włączył alarm antywłamaniowy, wstukując czterocyfrowy kod: 1729. (Liczba ta padła kiedyś podczas rozmowy Godfrey'a Harolda Hardy'ego ze Srinivasą Ramanujanem w 1920 roku, kiedy to Hardy przyjechał taksówką o tym numerze do szpitala, aby odwiedzić umierającego kolegę, i poskarżył się, że to „nieciekawa liczba”, na co Ramanujan odparł: „Nie, Hardy! Ależ skąd! To bardzo piękna liczba. Najmniejsza liczba wyrażająca na dwa różne sposoby sumę dwóch sześciątów). Zostawił na dole tylko jedną zapaloną lampę – tego był pewny – a potem wspinał się po krętych białych marmurowych schodach do łazienki. Zdjął okulary, rozebrał się, umył, wyszorował zęby i włożył niebieską jedwabną piżamę. Nastawił budzik w telefonie komórkowym na wpół do siódmej i przy okazji odnotował, że było dwadzieścia minut po północy.

W sypialni ze zdziwieniem zobaczył, że Gabrielle jeszcze

nie śpi, leży w łóżku na plecach w czarnym jedwabnym kimonie. Na toaletce paliła się świeca zapachowa; gdyby nie ona, w pokoju byłoby ciemno. Gabrielle trzymała ręce pod głową, łokcie miała skierowane na boki, nogi skrzyżowane w kolanach. Jedna smukła blada stopa, z palcami pomalowanymi ciemnoczerwonym lakierem, zataczała niecierpliwie kółka w wonnym powietrzu.

– O Boże – powiedział. – Zapomniałem o randce.

– Nie przejmuj się. – Rozwiązała pasek przy kimonie i rozchyliła jedwabne poły, a potem wyciągnęła do męża ramiona.
– Ja za to nigdy nie zapominam.



Okolo trzeciej pięćdziesiąt nad ranem Hoffmanna coś obudziło. Został wyrwany z głębokiego snu i gdy otworzył oczy, ujrzał niebiańskie oślepiające światło. Miało formę geometryczną, jak wykres, z cienkimi poziomymi liniami i szeroko rozstawionymi pionowymi kolumnami, choć bez żadnych liczb – sen matematyka, ale w gruncie rzeczy wcale nie sen, jak uświadomił sobie po kilku sekundach mrużenia oczu; raczej blask ośmiu pięćsetwatowych wolframowohalogenowych reflektorów systemu bezpieczeństwa, które były prosto w zasłonięte okno – taką ilością energii można by oświetlić małe boisko piłkarskie; od dawna zamierzał wymienić te żarówki.

Światła wyłączyły się automatycznie po trzydziestu sekundach. Czekając na to, zaczął się zastanawiać, co mogło przerwać promienie podczerwieni, które przecinały ogród, i włączyć reflektory. To musiał być kot, pomyślał, albo lis, a może jakiś większy liść, który poruszył się na wietrze. Po kilku sekundach światła rzeczywiście zgasły i pokój znowu pogrążył

się w ciemnościach.

Ale Hoffmann już wybudził się ze snu. Sięgnął po telefon komórkowy. Był to specjalny model, produkowany dla funduszy hedgingowych, umożliwiający szyfrowanie poufnych rozmów telefonicznych i e-maili. Żeby nie budzić Gabrielle – nie znosiła, gdy to robił jeszcze bardziej niż jego palenia – włączył go pod kołdrą i szybko wszedł na stronę Profit & Loss, żeby sprawdzić notowania dalekowschodnie. Tak jak przewidywał, w Tokio, Singapurze i Sydney nastąpiły spadki, ale portfel zarządzany przez VIXAL 4 poszedł w górę o trzy dziesiąte procent, co oznaczało według jego obliczeń, że od pójścia do łóżka zarobił prawie trzy miliony dolarów. Zadowolony, wyłączył telefon, odłożył go na szafkę nocną i wtedy usłyszał hałas: stłumiony, trudny do zidentyfikowania, a jednak dziwnie niepokojący, jakby ktoś okrążał schody.

Patrząc na małą czerwoną diodę czujnika dymu zainstalowanego u sufitu, ostrożnie wyciągnął ręce pod kołdrą w kierunku Gabrielle. Ostatnio, jeśli nie mogła zasnąć po seksie, miała zwyczaj schodzić do pracowni i malować. Przesunął palcami po ciepłych odkształceniach materaca, aż opuszkami trafił na jej biodro. W tej samej chwili Gabrielle wymamrotała coś niezrozumiale i odwróciła się w jego stronę, naciągając na ramiona kołdrę.

Hałas rozległ się znowu. Hoffmann uniósł się na łokciach i wytężył słuch. To nie było nic określonego – od czasu do czasu lekki głuchy odgłos. Mógł go powodować system grzewczy albo drzwi miotające się pod wpływem przeciągu. Wtedy jeszcze Hoffmann się nie zaniepokoił. Rezydencja była strzeżona jak twierdza, zresztą między innymi właśnie dlatego kupił ją przed kilkoma tygodniami: miała nie tylko te reflektory,

ale także trzymetrowej wysokości mur z potężnymi bramami sterowanymi elektronicznie, wzmocnione stałą drzewi frontowe z domofonem na szyfr, kuloodporne szyby we wszystkich oknach na parterze i rejestrujący ruch alarm antywłamaniowy, który Hoffmann włączył – był tego pewny – przed pójściem do łóżka. Prawdopodobieństwo, że intruz przedostał się przez te wszystkie zabezpieczenia, było nikłe. Poza tym Hoffmann był w dobrej formie fizycznej: już dawno zauważył, że wysoki poziom endorfin pozwala mu sprawniej myśleć. Ćwiczył. Uprawiał jogging. I teraz obudził się w nim atawistyczny instynkt, nakazujący bronić swojego terytorium.

Wstał z łóżka, nie budząc Gabrielle, a następnie włożył okulary, szlafrok i kapcie. Po chwili wahania rozejrzał się dookoła w ciemnościach, ale stwierdził, że w pokoju nie ma nic, co mogłoby posłużyć jako broń. Wsunął komórkę do kieszeni i otworzył drzwi sypialni – najpierw tylko trochę, a potem szerzej. Zapalona lampa na dole rzuciła przyćmione światło na schody. Przystanął na progu i zaczął nasłuchiwać. Ale hałas – jeśli w ogóle coś takiego było, bo nagle ogarnęły go wątpliwości – najwyraźniej ustał. Po minucie Hoffmann ruszył w stronę schodów i zaczął powoli po nich schodzić.

Może był to efekt lektury Darwina tuż przed snem, ale idąc po schodach, zdał sobie sprawę, że z naukowym zacięciem mimowolnie rejestruje swoje fizyczne reakcje. Zaczął szybciej oddychać, a serce tak mu waliło w piersi, że było to wręcz nieprzyjemne odczucie. Włosy zjeżyły mu się jak sierść zwierzęcia.

Wreszcie dotarł na parter.

Rezydencja pochodziła z okresu belle époque, zbudowano ją w 1902 roku dla francuskiego przedsiębiorcy, który zbił

majątek na uzyskiwaniu ropy naftowej z odpadów węglowych. Wnętrze zostało starannie urządzone przez poprzedniego właściciela, tak że do domu można się było od razu wprowadzić i pewnie dlatego Hoffmann nigdy nie czuł się w nim jak u siebie. Po lewej stronie miał wejście, a przed sobą drzwi do salonu. Korytarz po prawej prowadził w głąb budynku: do jadalni, kuchni, biblioteki i wiktoriańskiej cieplarni, w której Gabrielle urządziła swoją pracownię. Stał zupełnie nieruchomo, z podniesionymi jak do obrony rękami. Nie słyszał nic niepokojącego. Maleńkie czerwone oko czujnika wykrywającego ruch mrugało do niego z kąta holu. Uzmysłował sobie, że jeśli nie będzie uważał, sam uruchomi alarm. W Cologny zdarzyło się to już dwukrotnie, odkąd się tu wprowadzili – wielkie domy były nerwowo zupełnie bez powodu za wysokimi murami porośniętymi bluszczem jak rozhisteryzowane bogate stare damy.

Opuścił ręce i przeszedł przez hol do miejsca, gdzie na ścianie wisiał antyczny barometr. Wcisnął zapadkę i barometr usunął się w bok. Za nim krył się panel sterowania systemu alarmowego. Hoffmann wyciągnął prawą rękę i już miał palcem wskazującym wystukać kod, aby wyłączyć system, gdy nagle coś sobie uświadomił.

Alarm był wyłączony.

Jego palec zawisł w powietrzu, podczas gdy mózg gorączkowo szukał racjonalnego wyjaśnienia. Może jednak Gabrielle zeszła na parter, wyłączyła system i zapomniała go potem włączyć przed powrotem do łóżka. Albo prawdopodobnie on sam zapomniał go włączyć. Albo system się po prostu zepsuł.

Hoffmann bardzo powoli odwrócił się w lewo, żeby obejrzeć drzwi frontowe.

Pokrywająca je czarna błyszcząca farba lśniła w świetle

lampy. Wydawały się dobrze zamknięte i nie było na nich widać śladów włamania. Tak jak alarm stanowiły najnowszy model myśli technicznej i również były otwierane elektronicznie, za pomocą kodu. Hoffmann obejrzał się przez ramię i obrzucił wzrokiem schody oraz korytarz odchodzący w głąb domu. Wszędzie cisza i spokój. Podeszedł do drzwi. Wprowadził kod. W odpowiedzi zamki się odblokowały. Ujął ciężką mosiężną gałkę, przekręcił ją i wyszedł na pograżony w mroku ganek.

Księżyc, który wisiał nad atramentową połacią trawnika, przypominał srebrnobiały dysk, jakby mknący z dużą prędkością wśród sunących po niebie mas czarnych chmur. Cienie wysokich szumiących na wietrze jodeł, które zasłaniały dom od drogi, kołysały się i chwiały.

Hoffmann zrobił kilka kroków na zwirowym podjeździe, ale wyszedł za daleko, przerwał promień podczerwieni emitowany przez czujniki ruchu i włączył reflektory przed frontem. Zalany światłem, drgnął nerwowo i znieruchomiał jak uciekający więzień. Podniósł dłoń, żeby osłonić oczy, i zwrócił twarz w stronę oświetlonego na żółto holu, a wtedy zauważył parę dużych czarnych butów ustawionych porządnie przy wejściu do domu, jakby ich właściciel nie chciał wnieść do środka błota albo przeszkadzać mieszkańcom. Buty nie należały do Hoffmanna i na pewno nie do Gabrielle. Dałby też głowę, że nie było ich tutaj, gdy sześć godzin wcześniej wrócił do domu.

Patrząc na buty, wyjął telefon, niemal go wypuszczając, i zaczął wybierać 911, gdy przypomniał sobie, że jest w Szwajcarii, i zaczął od nowa; tym razem wystukał jednak 117.

Rozległ się tylko jeden sygnał – telefon zadzwonił o trzeciej pięćdziesiąt dziewięć według wydziału policji genewskiej, która rejestruje wszystkie zgłoszenia i od razu je nagrywa.

Ostro zgłosiła się kobieta:

– *Oui, police?*

Jej głos wydał się Hoffmannowi w tej ciszy bardzo głośny. I uświadomił mu, że gdy tak stoi w powodzi światła, jest dobrze widoczny ze wszystkich stron. Szybko więc przesunął się na lewo, poza zasięg wzroku każdego, kto obserwowałby go z holu, i jednocześnie podszedł pod dom, żeby się za nim ukryć. Przynisnął telefon do ust i powiedział szeptem:

– *J'ai un intrus sur ma propriété.*

Na taśmie jego głos brzmi spokojnie, nieprzekonująco, niemal mechanicznie. To głos człowieka, którego mózg – nawet bez udziału świadomości – koncentruje się przede wszystkim na przeżyciu. To wyraz strachu w czystej postaci.

– *Quelle est votre adresse, monsieur?*

Powiedział jej. Jednocześnie wciąż szedł wzdłuż fasady domu. Słyszał, jak palce kobiety stukają w klawiaturę.

– *Et votre nom?*

– Alexander Hoffmann – odparł szeptem.

Reflektory zgasły.

– *Okay, monsieur Hoffmann. Restez là. Une voiture est en route.*

Rozłączyła się. Sam w ciemnościach, Hoffmann stanął za rogami domu. W Szwajcarii było niezwykle zimno jak na pierwszy tydzień maja. Od Jeziora Lemańskiego wiał północno-wschodni wiatr. Hoffmann słyszał, jak fale rozbijają się o pobliskie moło, olinowanie uderza o metalowe maszty jachtów. Szczelniej otulił się szlafrokiem. Cały drżał z zimna. Musiał zacisnąć zęby, żeby nie dzwoniły o siebie. A jednak, o dziwo, nie czuł paniki. Zaczął odkrywać, że panika to coś zupełnie innego niż strach. Panika jest objawem załamania

nerwowego, psychicznego, stratą cennej energii, podczas gdy strach to sam instynkt, źródło siły: zwierzę, które staje na tylnych łapach, które przejmując kontrolę nad twoim mózgiem i mięśniami. Wciągnął w nozdrza powietrze i zerknął wzdłuż ściany domu w stronę jeziora. Gdzieś na tyłach domu na parterze paliło się światło. Jego blask efektownie oświetlał sąsiednie krzewy, tworząc z nich bajkową grootę.

Odczekał pół minuty, a potem zaczął skradać się w jego kierunku, ostrożnie stąpając po rabacie z roślinami wieloletnimi, która biegła wzdłuż domu. Początkowo nie był pewny, z którego pomieszczenia dochodzi światło: nie zapuszczał się tam od czasu, gdy agent z agencji handlu nieruchomościami oprowadzał ich po budynku. Ale gdy podszedł bliżej, zorientował się, że to kuchnia, a kiedy pod nią stanął i wyrżał zza ramy okiennej, zobaczył w środku postać mężczyzny. Był zwrócony do okna plecami. Stał przy wyspie kuchennej z granitowym blatem pośrodku pomieszczenia. Poruszał się bez pośpiechu. Wyjmował noże z bloku rzeźniczego i ostrzył je na elektrycznej ostrzarce.

Serce biło Hoffmannowi tak mocno, że niemal słyszał własny puls. Natychmiast pomyślał o Gabrielle: musi wydostać ją z domu, dopóki intruz jest zajęty w kuchni. Wydostać ją albo przynajmniej kazać jej zamknąć się w łazience do przyjazdu policji.

Wciąż trzymał w ręce komórkę. Nie spuszczał intruza z oczu, wybrał numer żony. Chwilę później usłyszał, że dzwoni jej telefon – zbyt głośno i zbyt blisko, żeby mógł znajdować się na piętrze. Intruz natychmiast uniósł wzrok znad ostrzarki. Telefon Gabrielle leżał tam, gdzie go zostawiła, zanim poszła spać, na wielkim sosnowym stole w kuchni; jego ekran zaczął

świecić, a różowy plastikowy pokrowiec wibrować na drewnianej powierzchni, aparat wyglądał jak egzotyczny żuk przewrócony na grzbiet. Włamywacz rozejrzał się szybko po kuchni i zlokalizował źródło dźwięku. Przez kilka długich sekund stał w miejscu. Potem, z tym samym wkurzającym spokojem, odłożył nóż – ulubiony nóż Hoffmanna, ten z długim cienkim ostrzem, które sprawdzało się szczególnie dobrze przy oddzielaniu mięsa od kości – i okrążył wyspę, zmierzając do stołu. Wtedy częściowo odwrócił się do okna i Hoffmann pierwszy raz mógł mu się przyjrzeć – łyse czoło z długimi cienkimi, siwymi na skroniach, przetłuszczonymi włosami ściągniętymi w kucyk; zapadnięte policzki; kilkudniowy zarost. Mężczyzna miał na sobie wyświechtany płaszcz z brązowej skóry. Wyglądał na podróżnika, kogoś, kto pracuje w cyrku albo jeździ służbowo na targi. Patrzył ze zdziwieniem na telefon, jakby widział coś takiego po raz pierwszy w życiu, potem go wziął, a po chwili wahania wcisnął „odbierz” i przystawił do ucha.

Hoffmanna ogarnął morderczy gniew. Jego fala zalała go jak światło. Powiedział cicho: – Ty skurwysynie, wynoś się z mojego domu! – i z zadowoleniem zobaczył, że intruz wzdryga się z przerażenia jak szarpnięty z góry przez jakiś niewidoczny drut. Gwałtownie obrócił głowę – w lewo, w prawo, w lewo, w prawo – a potem jego wzrok spoczął na oknie. Na moment napotkał spojrzenie Hoffmanna, ale o tym nie wiedział, bo patrzył w ciemną szybę. Trudno by powiedzieć, który z nich był bardziej przestraszony. Nagle rzucił telefon na stół i z zaskakującą zrećnością rzucił się do drzwi.

Hoffmann przeklął, odwrócił się i ruszył w kierunku, z którego przyszedł. Ślizgał się na grządkach i potykał – ciężko szło mu się w kapciach, z wykręconą nogą w kostce, a każdy

jego oddech był jak szloch. Gdy doszedł do rogu, usłyszał trzaśnięcie drzwi frontowych. Uznał, że intruz wybiegł z domu i ucieka w stronę drogi. Ale nie; mijały sekundy, a mężczyzna się nie pojawiał. Musiał zamknąć się w środku.

– O Boże – jęknął Hoffmann. – Boże, Boże.

Popędził ku wejściu. Buty wciąż tam stały – z wywalonymi językami, stare, sfatygowane, wrogie. Gdy wprowadzał kod, trzęsły mu się ręce. Jednocześnie zaczął wołać Gabrielle, mimo że sypialnia znajdowała się po przeciwnej stronie domu i były niewielkie szanse, że żona go usłyszy. Zamki się odblokowały. Gwałtownie otworzył drzwi w ciemnościach. Lampa w holu była wyłączona.

Przez chwilę stał zdyszany na stopniu i myślał o tym, jaki dystans ma do przebycia, kalkulował swoje szanse, a potem rzucił się ku schodom, wołając:

– Gabrielle! Gabrielle!

Był w połowie marmurowej podłogi holu, gdy nagle dom wokół niego jakby eksplodował, schody się zawaliły, płytki podłogowe uniosły, a ściany wystrzeliły na boki w noc.

2

Jak ziarnko przeważające szalę, drobiazg zdecyduje, który osobnik przeżyje, a który zginie...

Karol Darwin, *O pochodzeniu gatunków* (1859)

Hoffmann nie pamiętał nic z tego, co działo się później – żadne myśli ani wizje nie nękały jego prawie nigdy beczynnego umysłu – aż wreszcie jakby po długiej podróży zobaczył zarys lądu wyłaniający się z mgły, zaczął stopniowo odzyskiwać zmysły – poczuł lodowatą wodę spływającą po szyi, zimny ucisk na środku czaszki i ostry ból w głowie, usłyszał mechaniczne dzwonięcie w uszach i wciągnął w nozdrza znajomy zapach kwiatowych, trochę mdlących perfum żony. Wtedy uświadomił sobie, że leży na boku z czymś miękkim pod policzkiem. Na jego ręce spoczywało coś ciężkiego.

Otworzył oczy i kilka cali od twarzy zobaczył białą plastikową miskę; natychmiast do niej zwymiotował i poczuł kwaśny smak zapiekanki rybnej, którą jadł wieczorem. Zakrztusił się i zwymiotował ponownie. Miskę zabrano. Wtedy z kolei zaświecono mu jasnym światłem w każde z oczu. Wytarto mu nos i usta. Do ust chwilę później przyciśnięto szklanekę z wodą. Jak dziecko najpierw ją odepchnął, a potem bez sprzeciwu wypił całą zawartość do dna. Kiedy skończył, znowu otworzył

oczy i zmrúżywszy je, rozejrzał się po świecie.

Znajdował się w holu, leżał na podłodze, z plecami opartymi o ścianę. W oknie, jakby podczas nieustającego wyładowania elektrycznego, błyskało niebieskie światło wozu policyjnego; z radia dochodziła niezrozumiała wymiana zdań. Obok niego klęczała Gabrielle, która trzymała go za rękę. Uśmiechnęła się i uściśnęła jego palce.

– Dzięki Bogu – westchnęła.

Miała na sobie dzinsy i sweter. Podniósł się i oszołomiony rozejrzał dokoła. Ponieważ nie miał na nosie okularów, wszystko było lekko rozmazane: dwaj sanitariusze pochyleni nad skrzynką z błyszczącym sprzętem medycznym, dwaj żandarmi w mundurach, jeden przy drzwiach z hałaśliwym radiotelefonem przy pasku, drugi schodzący właśnie po schodach i trzeci mężczyzna, wyglądający na zmęczonego, dobrze po pięćdziesiątce, w ciemnoniebieskiej wiatrówce i białej koszuli z ciemnym krawatem, który przyglądał się Hoffmannowi obojętnym wzrokiem. Wszyscy z wyjątkiem Hoffmanna byli ubrani i nagle poczuł gwałtowną potrzebę, aby także coś na siebie włożyć. Ale kiedy próbował unieść się wyżej, stwierdził, że nie ma dość siły w rękach. Czaszkę przeszył mu ostry ból.

Mężczyzna w ciemnym krawacie zaoferował:

– Pomogę panu. – I podszedł do niego z wyciągniętą ręką. – Jean-Philippe Leclerc, inspektor genewskiego wydziału policji.

Jeden z sanitariuszy wziął Hoffmanna za drugą rękę i obaj z inspektorem ostrożnie go dźwignęli z podłogi i postawili na nogi. Na pomalowanej kremową farbą ścianie, w miejscu, gdzie spoczywała jego głowa, pozostała nieregularna plama krwi. Krew była też na podłodze – rozmazana, jakby ktoś się na niej poślizgnął. Pod Hoffmannem ugięły się kolana.

– Trzymam pana – uspokoił go Leclerc. – Proszę oddychać głęboko. I nie wykonywać gwałtownych ruchów.

Gabrielle odezwała się z niepokojem:

– Powinien pojechać do szpitala.
– Karetka będzie tu za dziesięć minut – odparł sanitariusz.
– Coś ją zatrzymało.

– Może tam na nią zaczekamy? – zaproponował Leclerc.
Otworzył drzwi do zimnego salonu.

Gdy Hoffmann został umieszczony w pozycji siedzącej na kanapie – nie chciał leżeć – przyklęknął przed nim sanitariusz.

– Może mi pan powiedzieć, ile palców pokazuję?

Hoffmann zapytał w odpowiedzi:

– Czy mogę dostać... Jak to się mówi? Zapomniałem słowa. – Podniósł dłoń do oczu.

– Potrzebuje okularów – wyjaśniła Gabrielle. – Tu są, kochanie. – Nałożyła mu je na nos i pocałowała go w czoło. – Spokojnie, nie denerwuj się, dobrze?

– Widzi pan już moje palce? – powtórzył pytanie sanitariusz.

Hoffmann policzył uważnie. Zanim odpowiedział, zwilżył językiem usta.

– Trzy.

– A teraz?

– Cztery.

– Musimy zmierzyć panu ciśnienie, *monsieur*.

Hoffmann siedział spokojnie, gdy podwijano mu rękawy, mocowano plastikowy pas wokół bicepsa i nadmuchiwano. Końcówka stetoskopu, która dotknęła skóry, była zimna. Jego umysł powoli, stopniowo przestawiał się na dawny tryb funkcjonowania. Hoffmann metodycznie rejestrował

poszczególne części pokoju: jasnożółte ściany, głębokie fotele i szezlongi obite białym jedwabiem, fortepian buduarowy Bechsteina, zegar w stylu Ludwika XV, tykający cicho na kominku, pejzaż Auerbacha w grafitowej tonacji. Na stoliku do kawy przed nim stał jeden z wczesnych autoportretów Gabrielle: sześcian o boku pół metra, złożony ze stu tafli szkła Mirogard, na których czarnym atramentem wprowadziła obraz swojego ciała uzyskany metodą rezonansu magnetycznego. W efekcie powstał dziwny trójwymiarowy obraz bezbronnej obcej istoty, jakby unoszącej się w powietrzu. Hoffmann przyjrzał się temu dziełu, jakby widział je po raz pierwszy. Coś powinien z związku z nim pamiętać? Ale co? Było to dla niego nowe doświadczenie – nie móc sobie przypomnieć czegoś natychmiast, w chwili gdy było mu to potrzebne. Gdy sanitariusz skończył badanie, Hoffmann zwrócił się do Gabrielle:

– Masz na dziś jakieś plany? – W skupieniu zmarszczył czoło, próbując przezwyciężyć chaos w pamięci. – Już wiem – powiedział w końcu z ulgą. – Dziś otwarcie twojej wystawy.

– Tak, ale możemy je odwołać.

– Nie, w żadnym razie... to przecież twój pierwszy wernisaż.

– Dobrze – stwierdził Leclerc, który przyglądał się Hoffmannowi z fotela. – Bardzo dobrze.

Hoffmann powoli zwrócił głowę w jego stronę. Ten ruch wywołał kolejną falę bólu w jego czaszce. Popatrzył na Leclerca.

– Dobrze?

– Dobrze, że przypomina pan sobie różne rzeczy. – Inspektor pokazał wzniesiony kciuk. – Niech mi pan powie na przykład, jakie jest pańskie ostatnie wspomnienie z dzisiejszej

nocy.

Gabrielle wyraziła sprzeciw:

– Myślę, że Alex powinien skonsultować się z lekarzem, zanim odpowie na jakiegokolwiek pytania. Poza tym musi odpocząć.

– Co zapamiętałem przed utratą przytomności? – Hoffmann zastanowił się z uwagą nad tym pytaniem, jakby to był problem matematyczny. – Chyba wchodziłem przez drzwi frontowe. On musiał zacząć się za nimi, czekał tam na mnie.

– On? Był tylko jeden człowiek? – Leclerc rozpiął suwak wiatrówki i z wysiłkiem wydobyl z jakiejś głębokiej kieszeni notes, potem zmienił pozycję w fotelu i wyjął długopis. Przez cały ten czas patrzył na Hoffmanna zachęcająco.

– Tak, z tego co wiem. Tylko jeden. – Hoffmann przyłożył dłoń do tyłu głowy. Jego palce dotknęły ciasno przylegającego bandaża.

– Czym mnie uderzył?

– Wszystko wskazuje na to, że gaśnicą.

– Jezu. A jak długo byłem nieprzytomny?

– Dwadzieścia pięć minut.

– Tylko tyle? – Hoffmann miał wrażenie, jakby stracił świadomość na wiele godzin. Kiedy jednak spojrzął za okno, zobaczył, że jest jeszcze ciemno, a na zegarze w stylu Ludwika XV dopiero dochodziła piąta.

– I krzychałem do ciebie, żeby cię ostrzec – powiedział do Gabrielle. – To pamiętam.

– Tak, rzeczywiście. Usłyszałam cię. Zeszłam do holu i znalazłam cię tam. Drzwi frontowe były otwarte. Zaraz potem przyjechała policja.

Hoffmann znowu popatrzył na Leclerca.

– Złapaliście go?

– Niestety uciekł, zanim przybył patrol. – Leclerc zajrzał do notesu. – To dziwne. Wydaje się, że facet po prostu wszedł przez bramę i tak samo wyszedł. A jednak, jeśli dobrze rozumiem, żeby pokonać zarówno ją, jak i drzwi wejściowe, trzeba wprowadzić różne kody. Tak się zastanawiam... czy ten człowiek mógł skądś pana znać? Bo zakładam, że nie wpuścił go pan celowo?

– Wcześniej nigdy w życiu go nie widziałem.

– Aha. – Leclerc coś zanotował. – Dobrze mu się pan przyjrzał?

– Był w kuchni. Zobaczyłem go przez okno.

– Nie rozumiem. On był w środku, a pan na zewnątrz?

– Tak.

– Przepraszam... ale jak to możliwe?

Początkowo z wahaniem, a potem coraz płynniej, w miarę jak wracały mu siła i pamięć, Hoffmann zrelacjonował kolejne wydarzenia: to, jak usłyszał hałas, zszedł do holu, odkrył, że alarm został wyłączony, otworzył drzwi, zobaczył parę butów, zauważył w oknie na parterze światło, obszedł dom i ujrzał przez okno intruza.

– Może go pan opisać? – Leclerc notował pospiesznie, ledwie kończył jedną stronę, już rozpoczynał nową.

– Alex... – poprosiła Gabrielle.

– Wszystko w porządku, Gabby – odparł uspokajająco Hoffmann. – Musimy im pomóc złapać tego drania. – Przytknęła powieki. Miał przed oczami wyraźny jego obraz – niemal zbyt wyraźny, jak wtedy, gdy zaglądał do jasno oświetlonej kuchni. – Był średniego wzrostu. Wyglądał podejrzanie. Po pięćdziesiątce. Pociągła twarz. Łysina na czubku głowy. Długie

rzadkie siwe włosy, ściągnięte do tyłu i związane w kucyk. Miał na sobie skórzany płaszcz, a może kurtkę... tego nie pamiętam. – Nagle ogarnęły go wątpliwości. Urwał. Leclerc patrzył na niego i cierpliwie czekał na dalszy ciąg. – Powiedziałem, że nigdy wcześniej go nie widziałem, ale teraz, gdy się nad tym zastanawiam, nie jestem tego już tak pewny. Może jednak gdzieś go widziałem... przelotnie, na ulicy. Było w nim coś znajomego... – Nie dokończył.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarń i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).